

KRONIKA LWOWSKA.

(Bitwa w bożnicy. — Leonidas i Xerxes. — Przed sądem wojennym. — Gdzie będzie zawarty pokój. — Drożyna mięsa a magistrat. — Komisja drożyzni. — Komisja teatralna. — Czego p. Getritz nie mógł zrozumieć? — „Po co“. — Kiszka magistracka a figle z wodą. — Słowo o ptakach niebieskich. — Sami filantropi. — Jakie pory. — Redaktorowie. — Kiedy to wychodzi na jaw? — Letnicy w mieście i w arestach. — Kradzieże w hotelu George'a. — Koniec kanikuły. — Powrót żony. — Niespodzianka. — Brama zamknięta. — Mąż pogrążony we śnie. — Wyrzuty i odpowiedź. — Przeprowadzka w nocy. — Morał dla żon).

W bożnicy przy ul. Węglanej stoczyła się w tym tygodniu bitwa, która w głównych zarysach, mutatis mutandis, przypomina Termopile, Waterloo i inne pamiętne w dziejach miejsca.

Garstka dzielnych mężów z Leonidasem = Scharfsohnem na czele wciągnęła na terytorium o wiele liczniejszego nieprzyjaciela, na którego czele stał Xerxes = Ebner Mojżesz, z wezwaniem, by poddał się i złożył stosowny okup. Lecz dumny Xerxes ani myślał o poddaniu się, a zuchwałemu intruzowi Leonidasowi kazał odpowiedzieć dumnie: „Idźcie na złamanie karku, nie boimy się was, bo pulpity, parasole, pantofle i laski nasze są tak gęste, że zaćmią słońce“. „Tem lepiej — odpowiedział zuchwały Leonidas — będziemy w cieniu uciekać!“ Xerxes = Ebner odbył ze swoją świtą krótką naradę wojenną, na której postanowiono walczyć do upadłego. Na dany znak rozpoczęto walkę. Była to walka, godna pióra Homera. Bez broni palnej, nawet bez łuków i kołczanów, ścierali się zapaśnicy a tylko naprzód na języki — całkiem jak u Homera, a dopiero po pojedynku językowym przysłała kolej na zapasy fizyczne. Całą falangą rzuciła się armia Xerxesa na zuchwałą garstkę leonidasową a ta broniła się rozpaczliwie z nadludzkim wysiłkiem. Laski, parasole, trzewiki, pantofle, pulpity, tabakiery, puszki, księgi i kalosze bujały w powietrzu, odbijając się o głowy, czoła i nosy walczących. Sam Xerxes = Ebner nie walczył, a tylko jako wódz udzielał wskazówek i kierował walką z pod stołu, pod który się schował, pamiętając o tem, że w pierwszym rzędzie należy uchronić wodza, bo gdy jego zabraknie, bitwa przegrana na pewne. Nie tak myślał zuchwały i lekkomyślny choć jak lew dzielny Leonidas-Scharfsohn, który sam osobiście walczył z wrogiem. To też liczny nieprzyjaciół pojął go wkrótce, nakrył obrusem, poczem walono w dzielnego wodza, jak w bęben. Legł...

Wobec nierównej walki zażądano posiłków. Odzież przysłała z sąsiedniej policji i zastała dzielnego Leonidasę poległego. Leżał z tą samą dumą, z tą samą odwagą, z tym samym spokojem, tylko nie z tym samym nosem, bo w walce ten ostatni stracił dawny regularny fason, choć zyskał na bogactwie kolorów. Na widok odsiecz rozpierzchli się wojownicy, choć w znacznej liczbie pojmami, musieli stanąć przed sądem wojennym c. k. komisarza policji. I sam Leonidas stanął przed obliczem komisarza, a po drugiej stronie zajął miejsce Xerxes. Do zawarcia pokoju przyjdzie dopiero za interwencyą sądu karnego, a na pobojowisku, na bramie historycznej już dziś świątyni przy ul. Węglanej widnieje jako jedyna pamiątka bitwy skromny napis: „Przechodniu! Idź i powiedz ziomkom swoim, ażeby dobrze schowali skradzioną podczas bitwy puszkę składkową, zawierającą 24 koron dla ojczyzny“.

Umilkła wrzawa wojenna, ucichły oręże, parasole i laski wróciły do codziennego użytku, a lwowianie do codziennych zajęć i kłopotów. Jednym z tych kłopotów jest obecnie drożyna mięsa. Rzeźnicy lwowscy, namówieni podobno przez jaroszków, wyśrubowali cenę mięsa tak wysoko, że już naprawdę przebrała się miarka cierpliwości konsumentów, a czego za wiele, tego i obywatel lwowski nie lubi. Mimo to pan prezydent Michalski jeszcze dotąd nie powiedział sobie: Tak długo nie będę spać spokojnie, dopóki nie znajdę kurczęcia w garnku każdego chłopca lwowskiego. I śpi spokojnie p. prezydent, a u stóp jego śpi morzeni drożyzna spokojni i cierpliwi obywatele, a rzeźnicy s ubują ceny z całym spokojem zasłużonych przy wyborach mężów, nie bojąc się ani rady miejskiej, ani jej naczelnika, ani komisji drożyzniowej, która jest a której niema, ani grózb i rad dzienników, ażeby na wzór taniego opatu miejskiego, założyć gminne jatki celem obniżenia i uregulowania cen mięsa.

Jeżeliby kto zwykłym trybem chciał wartość działalności sędzić po skutkach, musiałby przyjść do przekonania, że istniejąca w łonie lwowskiej rady miejskiej komisja drożyzniowa zasługuje całkiem słusznie na tę nazwę, bo od czasu jej istnienia wszystkie artykuły konsumpcyjne niesłychanie podrożały. A cel jej miał być inny. Miała

zapobiegać drożyznie. Dziś mogłaby zapobiedz drożyznie mięsa przez założenie jatek gminnych na wzór wiedeńskich, ale ona drzemie...

Natomiast inna komisja obudziła się ze snu, komisja teatralna. Był czas, kiedy spodziewano się grubych zysków z teatru, kiedy komisja teatralna miała znaczenie gospodarza teatru, nadzorując stronę finansową i moralną tj. repertuarową naszego teatru. Dziś, kiedy już sobie dawno wyperswadowaliśmy, że do teatru miejskiego trzeba nawet dokładać, a na repertuar nikt prócz samego dyrektora wpływu mieć nie może i nie ma, cała ta komisja teatralna złożona aż z ośmiu członków ma tylko chyba za zadanie chodzić w wolnych chwilach na premiery, poza tem żadnych funkcji ni żadnego znaczenia nie mając. Aliści i technicy zasmakowali w bezpłatnej łoży teatralnej i nuże żądać, ażeby komisję teatralną powiększyć o dwóch członków i wprowadzić do niej dwóch techników. Tutaj powinien być radny p. Getritz spytać: „Ta niby po co?“ — tak, jak spytał przy omawianiu sprawy zbudowania łazienek przy jednej ze szkół miejskich.

Bo p. Getritz nie mógł zrozumieć, na co i czy wogóle potrzebne są łazienki dla dzieci szkolnych, skoro one 1) kąpią się w lecie we własnym pocie, 2) w zimie nikt wogóle nie potrzebuje kąpieli a 3) do czego kąpiel się przyda, skoro i tak bachor po wyjściu ze szkoły wysmaruje się w mieście, jak grajzlernik lwowski. Długo persadowano panu radnemu Getritzowi „po co“ te kąpiele dla dziatwy szkolnej są potrzebne, nawet pan Czarnecki z Łyczakowa, który miał kilkanaście gotowych wniosków w zanadrzu, a kilkaset interpelacyj na samym koniuszku języka, odłożył wszystko na bok, aby ująć się za dobrą sprawą, a p. Getritz jeszcze dotychczas nie może zrozumieć „po co“.

Czemu jednak żaden z pp. radnych nie zainteresował pana prezydenta, czy mu co wiadomo o tuszach na ulicy, co prawda bezpłatnych, ale nie zawsze pożądanych. Bo pacholkiwie magistracy są dzentelmanami. Czego mają żałować wody, kiedy „gorąc“ dopieka i każdy chciałby się z gustem ochłodzić. Staje tedy taki mąż magistracki nad hydrantem, bierze w rękę „kiszkę“ magistracką i skrapia ulice. Jest to rzecz wielce chwalebna i pożądana. Ale takiemu funkcyonaryuszowi figielki w głowie. Oto, gdy mu się która z przechodzących niewiast podoba, albo który z mężczyzn nie podoba, urządza im niespodziewany tusz, skrapiając obficie od stóp do kapelusza. Można sobie wyobrazić, jak po takim tuszu wygląda elegancka dama w powiewnej fularowej lub batystowej sukni. To też po takim figlu śmieje się i sam figlarz i jego asystent i obok stojący policyant, a ta zbiorowa serdeczna wesołość zachęca figlarza do dalszych figłów.

Inni figlarze, zwani wulgarnie „ptakami niebieskimi“, stanowią temat do stałej rubryki w dziennikach i zasługują stanowczo na osobne studium, nie zaś na zwykłą wzmiankę kronikarską. Od takich ptaszków roi się u nas, a dobrze im snąć we Lwowie, skoro trzymają się go stale i zimą i latem. Bo u nas zawsze znajdzie się dość głupich, którzy się dadzą wykiwać lada — doktorowi Przedewszystkiem są to doktorowie. Sami filantropi. Powodowani sercem, chodzą po domach zbierać składki. Zawsze na jakiś cel dobroczynny. Naturalnie... A więc na ośmiu medyków, na podupadłą rodzinę, na skrofaliczną pannę, mającą wyjść za mąż, na umierającą matkę pięciorga dzieci i t. d. A gdy się zjawi taki elegancki pan, w czarnym tużurku, czasem z monokłem na oku, w lakierkach i rękawiczkach i przedstawi się „dr.“, to przecież żadna szanująca się pani nie odmówi mu datku „w dowolnej wys. kości“, bo trzeba nadto wiedzieć, że ci panowie filantropi wybierają zawsze taką porę, ażeby męża, względnie ojca, nie zastać w domu. Kobiety mają jakoś lepsze serce, a co najważniejsze, krótszy nos. Przytem żałują, że pana dobrodzieja w domu nie zastał, ale w interesie tych biednych a nieszczęśliwych przyjmie i od dobrodziejki jakiś datek, bo wracać niema czasu. Ci robią *en gros*. Są tacy, którzy robią *en detail*. Ci wynajdują specjalne rodziny łatwowierne i naciągają pod najrozmaitszymi pretekstami. Na żądanie gotowi przyrzec małżeństwo. Bardzo często przybierają sobie wygodny tytuł i charakter: „redaktora“ lub skromniejszy „dziennikarza“. Na udowodnienie wystarczy bilet wizytowy. Taki redaktor nie zapomina nigdy biletów w domu. Jestto jeden z tych rzadszych tytułów, które przynoszą dochody, nie nakładając żadnych obowiązków pracy. Pan redaktor wszędzie się wśliznie, z każdym się zapozna, potrafi dziwnie dyskretnie przedstawić swoje żądanie, propozycję lub coś podobnego i — przewa-

żnie odnosi sukces, bo nikt nie chce zaczepiać czy „zarywać się“ z redaktorem. Takich redaktorów od nieistniejących dzienników jest we Lwowie kilka kop. A wszystko żyje i ubiera się dzięki swemu zawodowi bez tytułu czy tytułowi bez zawodu.

Tem się tłumaczy, że dziennikarze z zawodu we Lwowie niechętnie przyznają się do swego zawodu, aby się nie zetknąć z jakimś kolegą. Czasem tylko uda się wyłowić i zdemaskować takiego redaktora, a gdy stanie przed kratkami sądowymi, wychodzi na jaw cały szereg conceptów, tak dowcipnie obmyślanych, na jakie swoją drogą żaden galicyjski dziennikarz się nie zdobędzie.

Pod wspólne miano ptaków niebieskich podstawić można cały szereg „letników“, których tuł. policja wyławia na ich letniskach, a raczej letnich noclegach. Są to draby, którzy przywędrowali tu z okolicy, albo też rodowici lwowianie, którzy żyją z kradzieży, przeważnie kieszonkowej w rynku. W nocy, zwłaszcza podczas kanikuły, śpią pod gołym niebem w ogrodach miejskich, na Wysokim Zamku, w parku Kilińskiego i w parku Łyczakowskim. Śpią w krzakach lub na ławach, co im tylko na zdrowie wychodzi, bo i nie kosztuje i płuca oddychają swobodnie.

Nasza policja wyłapuje ich na noclegach, zamiast chwycić ich w rynku na gorącym uczynku.

Nie taki to jednak był złodziej, który operuje od dłuższego czasu w największym u nas hotelu George'a. W tym, na wskrós wielkopańskim hotelu, zdarzają się wypadki kradzieży w ostatnim roku o wiele częściej, aniżeli w innych hotelach podrzędnych. Ale bo też i zarząd obecny pozostawia podobno wiele do życzenia, ile że pamięta przedewszystkiem o interesie, nie zważając na dobór służby i... gości. Nawet i dla tynglowek z Colosseum stoją otworem bramy hotelu George'a. *Non olet...*

Kanikuła ma się ku końcowi. Wracają już żony i córki, świeższe, zdrowsze, lżejsze, a dla słomianych wdowców kończą się piękne dni Aranjuetu. Lwów powoli znów się zaludnia, a za tydzień wróci całe życie z powrotem rozświergotanych studentów w mundurkach.

Jeden z klubu słomianców miał brzydką niespodziankę. Bez zawiadomienia poprzedniego wróciła żona z Krynicy o cały tydzień za wcześnie. Tylko rozżalona kobieta mogła się zdobyć na taki krok. Za to spotkała ją należyta kara. Na dworzec lwowski przyjechała późną nocą. Fija-krowi musiała grubo zapłacić, przed domem musiała długo dzwonić na stróża, który w dodatku zgubił gdzieś klucz... Coś podobnego zdarzyło się jej po raz pierwszy — czekać z koskami i pudłami pod bramą! Nareszcie znalazł się klucz i pani weszła do swego domu. Mąż spał snem sprawiedliwego. Ale w mieszkaniu był mały nieład. Prawie przed drzwiami w kuchni znalazła część kostiumu damskiego. Zbudzony mąż nie umiał tego wyjaśnić. Ale za to nazajutrz beształ za coś stróża, który usprawiedliwił się: „Co to gadać, i tak była sztuka za jedną godzinę wyprowadzić lokatora z mieszkania w nocy i nie wiedzieć, co jej a co nie jej — dość, że pani niczego się nie domyśla, a lokator spał u mnie, a rzeczy byli w piwnicy a dziś wszystko w porządku“.

Zaśmiał się małżonek dobrodusznie i wsunął pocziwemu stróżowi w łapę piątkę — nie za tę szybką przeprowadzkę współlokatora, ale za jego wdech i czujność, za to, że z poza bramy poznał głos pani i dał znać panu, że niebezpieczeństwo się zbliża.

Pamiętajcie żony: nie wracajcie za wcześnie.

Kl.

Ostre podejrzenie.

— Pan chyba tylko przez pomyłkę zostałeś człowiekiem.

Dobra rada.

— Że też pan się nie żeni.
— Nic prostszego, kochana pani, nie dostałem tej, którą chciałem!
— To jeszcze nie powód; to weź pan taką, co nie dostała, kogo chciała i wszystko będzie w porządku.

Oburzenie.

On: Aniele! Czarodziejko! Boginko!

Ona: Tylko, proszę, bez tych niesmacznych porównań ze stworzeniami — mniej jeszcze, niż ja — zasobnemi w garderobę!

Smutne doświadczenie.

— Czy zna pan „nadmudzi“?

Majster: Znam, niestety, są to ludzie, co nie płacą komornego; miałem jednego na kwaterze.